

Atlantyda

4 września 2015

Wspomnienie wczesnego dzieciństwa jawi się ostrymi obrazami drobnych zdarzeń wśród mgły niepamięci codziennego życia. Niektóre, zdawałoby się, drobne epizody tak mocno uwięzły w pamięci, że mijające lata nie zacierają ani ostrości kolorów, ani dźwięków, ani nawet zapachów, które utkwiły w nas głęboko. Na zawsze.

Urodziłem się w Ostrołęce. Ojciec otrzymał tam mieszkanie służbowe i rodzice mogli wyprowadzić się z ruin cuchnących jeszcze spalenizną Warszawy.

Na prowincji egzystencja była łatwiejsza, a życie toczyło się wolniej, z dala od wielkich wstrząsów dziejowych. Podczas gdy gdzie indziej opłakiwano śmierć Stalina, tu najwyżej rozpaczano po odejściu kogoś z rodziny, a w pogrzebie uczestniczyło prawie całe miasteczko. W tych jakże ciężkich latach, kiedy pamięć o cierpieniach wojennych była jeszcze jak niezagojona rana, mieszkańcy małej miejsciny rzeczywiście żyli jak wielka, kochająca się rodzina. Właśnie wtedy miałem mnóstwo ciotek i wujków, a „pan” to był ktoś, kto przyjeżdżał autobusem do Ostrołęki i wysiadał na rynku z walizką w rękę.

Mieszkaliśmy na skarpie, prawie na brzegu Narwi. To Narew odmierzała tu czas. Rzeka wylewała rokrocznie w czasie wiosennych roztopów. Ta piękna, dzika, płynąca wartkim nurtem wśród bagien i puszczy rzeka, wywarła wielki wpływ na moją dziecięcą psychikę.

Miałem pięć lat, kiedy nastąpiła wielka powódź. Pamiętam, że mętna woda ciągnęła nie tylko pnie drzew, drewniane płoty, ściany stodół, ale również całe drewniane domostwa. Po rzece pływały wojskowe amfibie i wyławiały z wody zwierzynę: konie, krowy, świnie, a nawet łosie. Dziwne, że wyraźnie pamiętam zgrzyt amfibijnych gąsienic, nawoływania ludzi, brunatną

kipiel wody, a prawie zapomniałem jak niewiele brakowało, abym sam utonął w odmętach tej wściekłej wtedy rzeki. Otóż przy pomocy swojego rówieśnika Lutka wyciągałem z domu wielką drewnianą balię, którą jakoś zataszczyliśmy na brzeg. Rozsiadłem się wygodnie i Lucio popchał balię na wodę. Tylko dzięki szybkiej reakcji dorosłych na histeryczny płacz Lucia stojącego na brzegu, zorganizowano natychmiastowy pościg motorówką. Dostrzeżono i wyłowiono mnie daleko za miastem. Podobno zachowywałem się spokojnie, leżałem nieruchomo na dnie balii i tylko dlatego zachowała ona stabilność. To mnie uratowało.

Ratownikom powiedziałem ponoć, że chciałem ratować zwierzęta. W domu zaś oświadczyłem, iż był to zaplanowany rejs do... Afryki. Jedna i druga wersja mogła być prawdziwa. Ojciec na dobranoc czytał mnie i bratu „Przygody koziołka Matołka” K. Makuszyńskiego. Jak wiadomo, koziołek przepłynął balią ocean i znalazł się na Czarnym Łądzie, co zresztą opatrzone było odpowiednią ilustracją. Oto jak pisarz może rozpałić wyobraźnię małego matołka. A ponieważ w czasie tej dramatycznej przygody nie uroniłem jednaj łezki okazując choćby odrobinę lęku, czy później skruchy, rodzice często opowiadali to wydarzenie chcąc wykazać, że od dziecka byłem szalonym desperatem i wagabundą, zawsze chodzącym własnymi ścieżkami.

To, co najstarsi pamiętali doskonale, mnie zacierało się jakoś w pamięci. Ale nigdy nie zapomnę widoku, który staje mi niezwykle wyraźnie przed oczami. Oto bystry nurt oszalałej powodzią Narwi unosi spory, solidny, lekko spadzisty dach. Na środku tej „tratwy” ratunkowej stoją zbite w gromadkę dwie lub trzy owce i koza. Jest też para zajęcy, pies, kot i... lis. Arka Noego. Dach obracał się czasem natrafiając na wiry, ale zziębnięte zwierzęta siedziały skulone, zachowując względny spokój. Tylko pies wył żałośnie, a lis biegał nerwowo z podkuloną, przemoczoną kitą od brzegu do brzegu tej dziwnej arki ocalenia.

Kiedy żołnierze zatrzymali burtą amfibii dach, pies od razu wskoczył na pokład pojazdu ratowników. Kot po długim ociąganiu dał się jakoś zdjąć. Gorzej było z pozostałymi zwierzętami, toteż wojacy za pomocą bosaków przyciągnęli do skarpy dach i wtedy dopiero zające i lis czmychnęły na ląd i pomknęły gdzieś wyludnionymi ulicami przedmieść. Koza dostojnie zeszła sama, ale wystraszone owce trzeba było zdjąć siłą.

Jednak nie zawsze Narew była taka nieprzyjazna. To, co zniszczyła w czasie powodzi, starała się zrekompensować kiedy indziej. Wody powodziowe nanosiły żyzny namuł wzbogacając gleby niżej położonych poletek i ogrodów warzywnych. Pamiętam, błądziłem kiedyś wśród ogromnych krzaków niezwykle aromatycznych pomidorów i zaplątałem się w wąsach ciemnozielonych ogórków. Żółte ogórkowe kwiecie wielkości letnich motyli przyprawiało o ból oczu. Mocny, apetyczny zapach tych roślin kręcił w nosie, upajał. Ten aromat czuję wyraźnie i zakodował się w mojej pamięci na zawsze. Tak pachną tylko rajskie ogrody. Zabłądziłem w małym, warzywnym ogródku. Dopiero ciotka Jońska wypatrzyła moją jasną czuprynę ledwo wystającą znad liści wielkości łopianu i wyciągnęła mnie z tego buszu.

Ogórków była taka obfitość, że kiszono je w dużych, dębowych bekach, a następnie beczki zatapiano w zakolach rzeki. Wyciągano je bosakami dopiero późną jesienią przed nadejściem mrozów. Jakiż miały wyśmienity smak te kiszeniaki! – Później jadłem takie ogórki jeszcze dwa razy w życiu. Raz pochodziły one ze spiżarni cioci Frani z Ernestynowa, a drugi z piwnicy pani Ziembickiej z Suchodołu nad Wisłą. Być może dlatego dzisiaj patrzę z obrzydzeniem, kiedy ekspedientka warzywniaka wyciąga miękkie, oślizłe kiszeniaki z plastikowej beczki, w której najważniejszą przyprawą jest saletra amonowa, tudzież inny superfosfat.

Narew. W jej kryształowo czystych nurtach pławiła się taka obfitość ryb, że w latach pięćdziesiątych stanowiły one podstawę wyżywienia większości mieszkańców Ostrołęki.

Kurpiowszczyzna była jednym z najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych regionów kraju, toteż jesienią idąc uliczkami miasteczka czuć było przede wszystkim zapach smażonych ryb i gotowanych grzybów. Z rzeki wyciągano wielkie jak kłody sumy i szczupaki, a koszami złowionych leszczy i płoci nikt się nie chwalił. Mój ojciec, który nadzorował regulację Narwi i jej dopływów, nigdy ryb nie łowił. Nie było potrzeby. Czasem kilka sztuk podrzucił dziadek Repko, czasem ktoś inny. Mieliśmy też w domu zawodowego rybaka. Był nim kocur Bartek.

Kot przesiadywał całymi dniami nad rzeką i łapał ryby. Siedział nieruchomo i wpatrywał się w wodę. Kiedy do brzegu podpłynęła mała rybka, wyrzucał ją łapą na ląd i zjadał. Po większe sztuki skakał do wody, wbijał w ofiarę pazury i wyciągał na brzeg. Kiedyś przytaszczył do domu szczupaka, który nim trafił na patelnię, skakał po podłodze kuchni. Tego dnia nasz kot stał się znany w całym mieście. Mnóstwo ludzi obserwowało jak Bartek ciągnie dłuższą niż on sam rybę w kierunku domu. Szczupak chwycony zębami za skrzela rzucał się całym ciałem i wyślizgiwał z pyszczka. Przemoczony kot włókł go po ziemi z szeroko rozstawionymi łapami, wzbudzając salwy śmiechu wśród gapiów. Ale nie wszyscy wierzyli, że kot mógł złapać taką rybę. Niektórzy wyrażali pogląd, że Bartek ukradł po prostu szczupaka jakiemuś wędkarzowi. Przecież te wodne drapieżniki lubią głęboką wodę i są szybkie jak błyskawica. Robotnicy, którzy nie raz obserwowali tego dziwnego kota cuchnącego rybami, stanęli w jego obronie. O mało nie doszło do bójki.

Jednak Narew to nie tylko ryby. Z rzeki wyciągano potężne pnie dębów rosnących w puszczy tysiące lat temu. Doskonale zakonserwowane w mule drewno przybierało po wiekach czarny kolor. Czarna dębina jest niezwykle cennym i poszukiwanym drewnem. Kiedyś, podczas robót regulacyjnych, pogłębiarka wydobyła spod dna rzeki kły mamuta. Ojciec przekazał je do Muzeum Ziemi w Warszawie, gdzie znajdują się do dzisiaj.

Narew, rzeka beztroskiego dzieciństwa na zawsze pozostała moją

błękitną miłością. Do dzisiaj czuję mocny zapach wikliny, słyszę szuwały kołysane wiatrem. Widzę jesienne mgły snujące się nad łąkami i bagnami, albo płynącą środkiem rzeki siną krę. I tęsknię.

Pamiętam klucze żurawi i bocianów odlatujących jesienią znad nadnarwiańskich łąk i bagiennych rozlewisk Biebrzy. Wiosną, kiedy powracały do swoich gniazd i lęgówisk, ludzie witali te ptaki z radością. Pamiętam starszych mężczyzn stojących na brzegu rzeki i zdejmujących pokornie czapki na powitanie, okazując szacunek tym dostojnym ptakom. Takie to dziś egzotyczne, nierealne.

We współczesnym świecie, kiedy człowiek uzależnił swe życie od komputera, taki gest uszanowania dla dzikiej przyrody wzbudziłby uśmiech politowania. Ale wtedy jeszcze ludzie nie byli ogłupieni przez telewizję i inne wątpliwe „zdobycze” cywilizacji. W tamtych czasach mieszkańcy Kurpiowszczyzny żyli blisko i w zgodzie z naturą. I właśnie to dawało im poczucie szczęścia mimo biedy i niedostatku tamtych lat, a przyrodzie umieli okazywać miłość i szacunek.

Podczas gdy ciągnące nad rzeką klucze odlatujących ptaków w dorosłych budziły smutek, w nas, brzdącach, wzbudzały nadzieję. Wszak to przecież bociany przynosiły dzieci. Wystarczyło zadrzeć głowę do góry i głośno poprosić, aby podczas wiosennego powrotu bociek wrzucił przez komin braciszka lub siostrzyczkę. Musiałem dziarsko wyrzесzczеć swoją prośbę, bo oto następnej wiosny spełniło się moje marzenie. Dostałem w prezencie siostrę. Ale wtedy nie mieszkaliśmy już w Ostrołęce.

Później całymi latami tęskniłem za błękitną moją Narwią, za starą dobrą Ostrołęką, za tuzinami przyszywanych ciotek i wujków pozostawionych w cichym, ukochanym miasteczku. Nigdy nie zapomnę ciotki Jońskiej, którą przedrzeźniałem, kiedy wołała męża:

– Leon, na obiad!

– A ja – Lewon, Lewon!

Mogli mi mówić codziennie, że jest to wujek Leon, ale dla mnie pan Joński to był po prostu Lewon i już.

Nie zapomnę wujka Drężka, marynarza śródlądowego, który zimowymi wieczorami przy lampie upstrzonej przez muchy opowiadał nam, dzieciakom, o dalekich krajach, ładach, podróżach. Jego młodzięczym, niespełnionym marzeniem było pływanie po oceanicznych wodach. Stąd geograficzna wiedza i zamiłowanie, które dzielił z dzieciarnią.

Mile wspominam ciotkę Malinowską z Wojciechowic, do której wybrałem się sam na obiad. No, tak w odwiedzinki. Przeszedłem kilka kilometrów piechotą, demonstrując swój nieokiełznany pociąg do włóczęgostwa. Pamiętam też wujka Święcickiego, który woził mnie na koniu, ale najbardziej kochałem ciotkę Ostaszewską z Łęczyska.

Ciotka Ostaszewska, a czasem jej córki Danusia lub Alinka opiekowały się mną i bratem, kiedy rodziców nie było w domu. Starsza kobieta miała cierpliwość anioła do urwisa, pełnego fantazji, najbardziej niepokornego dziecka, jakim w Ostrołęce niewątpliwie byłem. Wszędzie wlażłem, musiałem zajrzeć, wszystkiego dotknąć, toteż starsi mieli ze mną krzyż pański, a Ostaszewska zajmuje teraz honorowe miejsce pośród świętych w Królestwie Niebieskim.

Posiadałem tak ogromne pragnienie poznania, że długo nie mogło się we mnie wykształtować to, co nazywamy instynktem samozachowawczym. Nie bałem się nikogo i niczego. Nieraz dorosłym stawały włosy dęba, widząc mnie chodzącego po barkach czy holownikach na Narwi lub wręcz topiącego się w nurtach rzeki. „Jak się nie utopi, to żyć będzie” – mawiano. I żyję, bo raz wyłowił mnie z wody marynarz Wicek, młody, wesoły chłopak, innym razem wujek Moklak, któremu „nerwy puściły” i przyrznął mi w tyłek wiklinową witką.

Na długo wystarczyło, bo oto już na drugi dzień uruchomiłem motorówkę, którą popłynąłem w górę rzeki. Zaraz za mostem dopadła mnie milicja ścigaczem. Za karę wujek Zatoryb kazał mnie zamknąć na 10 minut w prawdziwym areszcie. Pomogło. Na następne 10 minut. Często rozbijana głowa mogła być zszywana prawie natychmiast przez ciotkę Melion. Opatrzność boża sprawiła, że po sąsiedzku mieszkała znana na całą okolicę lekarka.

Scenariusz był zawsze taki sam: rozbity łeb, zmywak do szorowania garów, aby krew zbyt mocno nie leciała i do cioci Hali. Jak ciotki nie było w domu, to wystarczyło przejść przez rynek do szpitala. Trzy, pięć, osiem szwów, co za różnica. I tak nigdy nie płakałem. Raz tylko zatrzymano mnie w szpitalu na dłużej. Kiedyś odpinaliśmy z dziećmiakami tylną klapę skrzyni ciężarówki stojącej na podwórku. Pchając tę klapę spadłem w dół uderzając głową o kątownik zabezpieczający trawnik. Kawał oskalpowanej skóry z włosami naciągnąłem na swoje miejsce i przyklepałem dłonią. Tym razem nie podeptałem do cioci Melinowej, bo krew zalewała mi oczy. Wtedy właśnie rozpłakałem się po raz pierwszy. Nie, nie z bólu, ale z powodu niemożności widzenia tego, co się wokół mnie dzieje.

Pod zamkniętymi powiekami oczu przesuwają się obrazy. Jedne bardzo wyraźne – inne tracą ostrość za mgłą mijającego czasu. Miasto, rzeka i twarze ludzi. Starsi, którzy starali się nie spuszczać ze mnie wzroku, kiedy byłem niesfornym brzdącem, poumierali cicho i spokojnie. Ci, co dzięki Bogu żyją jeszcze, są jak brylanty wśród ciżby chamstwa, egoizmu, pazerności. Stanowią coraz rzadziej spotykany gatunek. Takim klejnotem jest ciotka Zatorybowa wychowująca troje wnuków pozostawionych przez dwie śliczne córki, którym okrutny los przerwał nić życia w bardzo młodym wieku. Jakże przedwcześnie. Jakiż wielki żal nadal ściska serce. Kochana ciotka Teresa. Zawsze jawi mi się roześmiana, dobra i niezmienna mimo upływu lat. A miasto? – Tamtej Ostrołęki już nie ma. Powstały nowe, betonowe osiedla, elektrownia, fabryki, a ulice zalano asfaltem.

Ludziom zaczęło się żyć znacznie lepiej, a Ostrołęka awansowała do rangi miasta wojewódzkiego.

Wreszcie przyszło „nowe”. Nowe, to znaczy „transformacja ustrojowa” i „wolność” w wyniku której Ostrołęka znowu stała się prowincjonalnym miasteczkiem. Powróciła bieda z lat pięćdziesiątych, z tym, że teraz żyje się znacznie gorzej, bo w latach pięćdziesiątych i później rozwijał się przemysł, a ludzie mieli nadzieję. Wiele przedsiębiorstw zniszczono, jest więc niewyobrażalne bezrobocie, a ci co jeszcze pracują, wykonują pracę w systemie niewolniczym, za pensje stanowiące wyraz najwyższej pogardy dla człowieka. Jak w całej Polsce. Narew niby płynie tym samym korytem, ale to już nie ta dzika, wylewająca rzeka jak dawniej. Nie ma już w niej tego piękna co kiedyś. Jest uregulowana i przypomina kanał. I ryb już nie ma, a jeśli komuś uda się coś złowić, to czasem zdobycz cuchnie i nie da się zjeść. Ludzie też są inni. Smutni, często przygnębieni, bez szans na przyszłość. Kwitnie tylko jedna dzielnica, w zasadzie osiedle willowe. Tam budują się miejscowi notable, „biznesmeni” i kombinatorzy, więc osiedle ma już wdzięczną nazwę – Złodziejówek.

Ostatni raz byłem w Ostrołęce kilka lat temu. Lokal, w którym kiedyś zamieszkiwałem z rodziną, zajmuje teraz straż miejska. Byłem wściekły, że w moim byłym mieszkaniu zagnieździli się łapserdaki polujący w mieście na bezrobotnych pijących piwo gdzieś w parku i na babiny usiłujące sprzedać parę kwiatuszków, by do chleba z renty kupić kawałek kiełbasiny. Coś mnie ścisnęło za gardło. Po mieście chodziłem smutny, nawet ponury. Teraz skrętnie omijam miasto swojego dzieciństwa. Chcę je pamiętać takim, jakie było kiedyś. To mój utracony eden. Bezpowrotnie zaginiony świat. Jak Atlantyda.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl